

Ichtys, czyli święta ryba

Głowa boli często, boli w każde rano; śnił mi się z sufitu deszcz. Gardło mam suche i skórę, ty też. Gdy leżę, wyobrażam pękającą ziemię; po horyzont masz szerokie plecy, przykładam do nich twarz. Spokój pustyni, masa oceanu – trudno cię dzisiaj ukołysać do snu. Przez wodę przepływa plastikowy plankton, w skałach rozkwitają pąki takich róż. Z tworzyw sztucznych śnią nam się pejzaże, już po groźbie, za późno teraz, by się czegoś bać. Tacy głodni jedliśmy dalej niż do syta, dlatego tak rzadko słyszymy dziś śmiech.

Czy widziałeś kiedyś, jak wygląda Kosmos, ja widuję czasem błękitne wieloryby, w iluzorycznej czerni świetliste mijają; ciekawe, czy wiedzą, gdzie góra, gdzie dół. Kierunki całkiem mi się pomieszały, teraz dużo leżę; przyłapuję płuca na martwym lenistwie, a pamiętam jeszcze ten tlenowy haj. Chodziliśmy po puszczy, dużo było drzew, one bezpieczne i my wtedy też.

Na plażę prowadziła droga przez las, kwadrans szłam, nie zliczyłam mijanych drzew. Szłam z siostrami, śpiewaliśmy o jagodach, ich granatowych buziach, sukienkach seledynowych. Kopałyśmy szyszki, sosny się pięły nad nami. Dużo mówiłam, gdy nie śpiewałam – śpiewałam dużo, mówiłam więcej. Człowiek śpiewał najpierw, śpiewał do zwierzyny, potem melodię wygasił. Moją staram się odzyskać, słyszę – mruczy lodówka, gdy zapada noc. Ja ten dźwięk z rana lubię powtórzyć, rezonują wargi, sprzęty mają dziki głos. Snułam opowieści na plaży, a przedtem w lesie, zniknęły, żadnej nie pamiętam. Fale były jak oddech, widziałam zapadanie się i rozpulchnianie plastikowej torby, gdy ktoś założył ją innemu na twarz. W dzieciństwie torebki miały mi raczej służyć za skrzydła; coraz rzadziej udaje mi się teraz wznieść. Skrzydła te moje gdzieś same poleciały, krzyć będą jeszcze setki lat. Coraz ich więcej, więcej niż nas. Latają, ale też pływają: patrzyłam, jak ptaki, myślałam, meduzy.

W restauracji ciasnym pokoju ciemnodrewniane ściany długie i wysokie, patrzę w górę, tam wysoko zbliżają się do siebie – niezamknięty szpic. Pamiętam nieraz palcem wygrażanie, sztywniał on i rósł, myślałam wtedy: ludzie zamiast palca woleliby nóż. Wdrapuję się na krzesło, garbate ma nogi, czy go jakaś choroba nie trawi; widzę cienie pod oczami w szybie odbitymi. Usiadłam. Ty wcześniej. Teraz jesteś naprzeciwko mnie. Patrzę na nas ekrany akwariów, czuję ich powolny z rybami ruch. Pachnie plażą, na brzeg wyrzuconymi glonami; gdy dzieckiem po szyję mnie w piasku zakopali. Ciasno i mokro, syreni ogon mi ulepili, marzyłam, ulepili. Fale robiły się bardziej pierzaste, ktoś objął prostymi ramionami głowę, skoczył, popłynął. A to ja miałam ogon po szyję zakopana.

Rozmawiamy, staram się prowadzić rozmowę, uważnie patrzę na kontur twoich ust. Sama barwnym wyrażam się głosem, spójrz jak się mienią srebrne tułowie szprot. I wpełzł między nas szklany ze szprotami sześcian, teraz widzę swojej twarzy staby refleks, twoja w wodzie się rozlała, akwarelami się w mojej pamięci malujesz.

Czy czujesz czasem, gdy idziesz ulicą? Czujesz śliskich łusek otarcia?

W metrze przycisnąć się muszę przez ludzi, ponad progiem skok, chirurgiczne światło, stres się we mnie wzmaga, nie wierzę, nie tylko we mnie, czuję jak spięte dotykają mnie ciała. Widzę jakąś znajomą postać, nie witam się, grzeczna raczej jestem, miła najczęściej, ale trudno przyjąć, że w tłumie ktoś rozpoznałby moje spojrzenie. Ja widzę wszystkich, na czarno patrzę, do sufitu urosli, gęby rozwarli. Ściany metra z nimi zaczęły falować, organiczność ma więcej niż jedno znaczenie.

Z podziemia wyjeżdżam jak z apokalipsy, jak robaki jesteśmy tylko trochę więksi. Wiadro pomyj ktoś na świat rozlał, niedopałek do kosza wyrzucam, czy myślisz, że on magicznie zniknie, co uważasz teraz ma się z nim wydarzyć. Gdzieś zawędruje, ktoś połknie, dopali, kogoś innego też przyprawi o śmierć.

Czy patrzysz rybie w oczy, kiedy ją pożerasz, czy widzisz w nich odległy i głęboki świat. Rybie oczy nie gasną tak szybko jak ludzkie, gdy siedzę w metrze, mam przed sobą twarz. Pod wodą podobno mieszkają demony, szatany tam pełzają po dnie. To miejsce do sprawdzenia dla nas niedostępne; powietrze widziałam mętniejsze niż staw. Gdy siedzę w metrze, nabiera prędkości, ciszę przesywa jego ciągły ryk. Wiele lamentów w ziemi zakopanych, czy dziwić może ten w tunelu płacz. W wodzie dźwięk dla nas ujawnić się nie może, czy w rybach cię nie koi impotencja ust.

Dźwięki jak dźgnięcie potrafią zaboлеć. Czy ktoś na ciebie kiedyś krzyknął? Ja milczących raczej ludzi lubię towarzystwo; między żebrami czułam kiedyś jakby zimną stal. Usta jak kamienie ze sobą sklepiłam, jak tu je rozpulchnić, czy w oczach ktoś przyłapie prędkości czujny strach.

Ryby jadł zmartwychwstały Bóg. Czy nabierają przez to boskich przymiotów, czy kontemplowałeś kiedyś boskich jelił ruch? Czy jak pachnie morzem, to myślisz o wieczności, nurkujesz, szukając zagubionych dusz? Ja, gdy patrzę w niebo, widzę akwarium, miga mi czasem rytmiczny pływający ruch. Aniołom z boków skrzydła nie wystają, patrz jak tam grają, zamiast harfy skrzela.

Ludziom na wietrze płaszcze falują; falują falują, wzruszenie pierwszy raz od dawna poczułam. Przewroczyliśmy chodzimy po ulicach, w wodzie niełatwo wypatrzeć ciemnych grzbietów rys. Kolejne spotkanie, usiadłam, uśmiecham się przyjaciółmi otoczona,

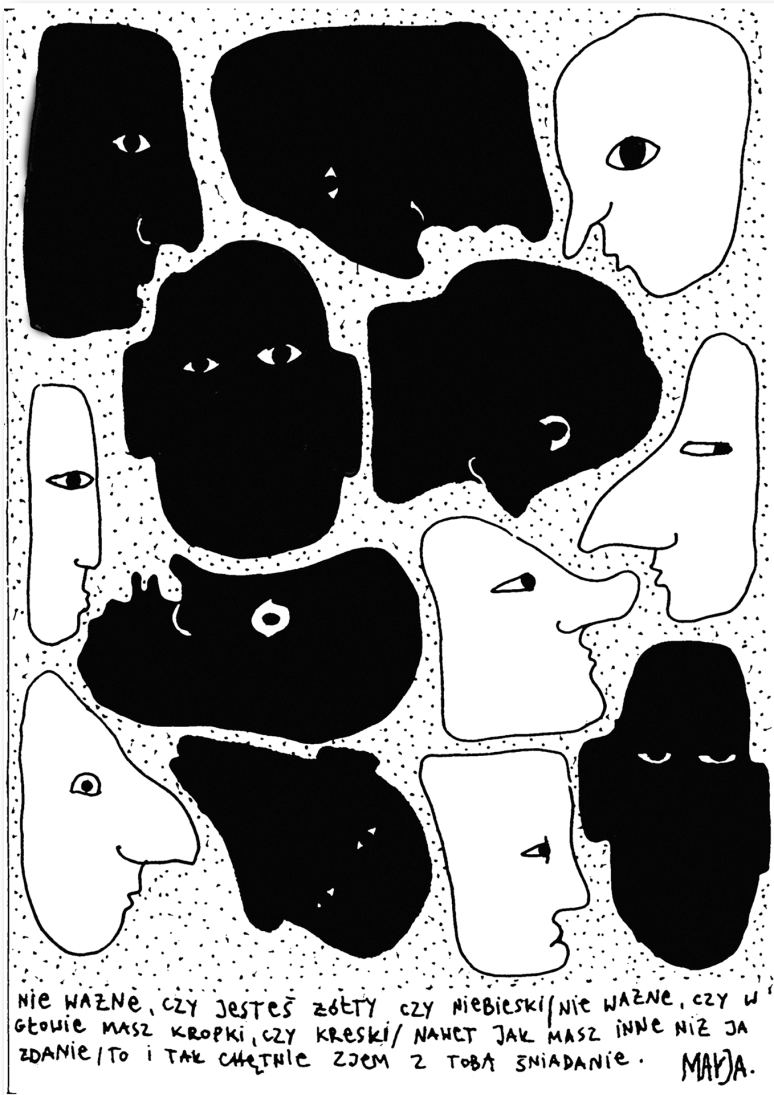
cóż o sobie wiemy. Pomieszczenie spokojne, martwe udaje, a ze ścian jakby z brzucha słyszę bulgotanie. Krzesła harmonijne kształty przyjęły mnie chętnie, ja sztywne, wstyd mi za siebie, tamci spokojni w oparcia objęciach. Uszy skłaniam do słuchania, rozluźniam usta, by coś powiedziały. Ten wyjeżdża nad inne morza, oczy rosną, policzki rumiane. Tamten smutny znudzony, skąd się bierze szary pigment skóry. Ja jakby za mleczną szybą, polik do niej przykładam, przylgnąć bym chciała do rzeczywistości. Jemy, pijemy, chyba jest wesoło, nie znam już innej emocji niż strach. W szklankach na dno piana się zsuwa, na talerzach zostały rachityczne szkielety, wyjedzone mięso, ofiara spełniona. Oddech mam rybi, do Boga zbliżona.

Idę i widzę, jak się z koszy śmieci wysypują. Doceń gładkość mojej jasnej skóry, peelingami ją trę, w morzu plastikowe drobinki pływają, dezodoranty w aerozolu lubię stosować, czy za powietrza przyjaciółkę mogę uchodzić, włosy mam czesane przez wiatr.

Czy widziałeś kiedyś górę martwych ryb. Trzepecie się góra miejscami, oślizgła, błyszcząca; to wody czerwień się w późnym niebie odbija.

Łusek czuję śliskie otarcia. Strój wkładam sportowy. Pewnie stoję, mocne mam poduszki, wykrok i podnoszę zgiętą nogę, drugą, drugą też podnoszę. Jeszcze i jeszcze. Dwa podskoki i szeroki przysiad, wyskakuję dwa razy i upadam w przysiad głęboki. Powtarzam, szybko, powtarzam, powtarzam. Na kolanach się opieram, kłaniam się w pompce, już nie mogę, ale dwa razy jeszcze i już. W prostej linii ciało układam równolegle do podłogi trzymam, drzę, trzymam. Na plecy się kładę, nogi w kołyszce lekko podnoszę, lędźwie przy ziemi trzymam uważnie, brzuch napinam świadomie, mięśniami nogi podnoszę, podnoszę, podnoszę. Na różne sposoby ciało próbuję, opadam w końcu, zdyszana, buzia czerwona. Boli i czuję, jakbym była człowiekiem. Szyba z przede mnie się wycofuje, ryby odplynęły, krew mi w żyłach krąży, przez chwilę znowu wierzę w grawitację, świat jakby na chwilę skrępeł.

Pilnuję mnie oczy, pilnuję dzień i noc. Czy wiesz, że bez powiek patrzy się uważnie; mnie też daj, proszę, tak cierpliwy wzrok.



Maria Cielecka, Grafika